



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska

(c. d.)

Dn. 4-go rano.

Chciałem dziś rano wysłać list, ale jakoś zapomniałem o tem i dobrze się stało, bo miałem wielce oryginalną rozmowę, którą chcę tu zapisać dopóki ją dobrze pamiętam. Dla tego też jedynie nie korzystałem dotąd z pozwolenia Szanownej Redakcyi, aby się z przysyłaniem moich sprawozdań nie spieszyć, bo przekonałem się już, że czego się na świeżo nie zapisze, to potem zatrze się w umyśle i odszukać się już ze wszystkimi szczegółami nie da.

Źle dzisiaj spałem, bo grożące nam tu trzęsienie ziemi nie chciało mi wyjść z głowy, a kilkakrotnie nawet zdawało mi się, że już uczuwać drganie gruntu. Nie rozbierałem się nawet przez ostrożność, żebym w razie niebezpieczeństwa mógł prędzej wybiec z domu. Miałem złowrogie sny, ale rano gdy wyrzął przez okno, niebo było tak jasne, pogoda tak piękna, że wszystkie moje obawy wczorajsze pierchnęły. Wyszedłem do ogrodu gdzie wszystko błyszczało rosą, a powietrze przesycone było zapachem róż. Szczyty gór śniegiem pokryte zdala różowiwały od słońca, a morze błyszczało ciemnym szafirem.

— Czyż podobna przypuszczać — myślałem — aby ten piękny kraj miał uleść wkrótce zniszczeniu? Nie, to być nie może; uczonym chyba pomieszało się w głowie!

W końcu alei spotkałem ze zdziwieniem mego kolegę z ciała dyplomatycznego, lorda Schockinga. W białym płóciennym kapeluszu w drobną kratkę i jasnym garniturze w duże kraty, w binoklach na długim zawieszonym sznurku, który



Pałac w Jabłonie pod Warszawą.

wplątywał się zawsze w jego rude faworyty, szanowny lord przechadzał się miarowym, poważnym krokiem, trzymając w jednej ręce notatnik otwarty, a w drugiej ręce zegarek na który co chwila spoglądał. Pozdrowiłem go, a on podał mi uprzejmie rękę.

— Czy i pan także nie możesz się doczekać tego zapowiedzianego trzęsienia ziemi? — zapytał. — Wstałem przed wschodem słońca i chodzę ciągle z ołówkiem w rękę żeby móżdż notować moje wrażenia, a tu nic i nic. Obawiam się aby ta cała zapowiedziana awantura nie zrobiła fiasco, bo podobno stary Pluton będzie spał dalej, jak śpi dotąd. A szko-

da, bo życie na tej pięknej wyspie, jest nazbyt monotonne i pożądaną byłaby małe dywersja.

— Ależ milordzie, trzęsienie ziemi rzadko kiedy odbywa się bez ofiar w ludziach!

— To i cóż? Raz umrzeć trzeba, a przyznaj kolego, że przyjemniej jest umrzeć w sposób oryginalny. Przechodzić z tego świata na tamten leżąc na łóżku, to już zbyt oklepane. Ja jestem zwolennikiem nowych wrażeń.

— Czuć że grunt z pod nóg się usuwa, dziękuję za taką przyjemność. Już ja wolę w łóżku umierać.

— Różne są gusta... Ale mam przecucie że jeżeli doczekamy się tu trzęsienia ziemi, to chyba jakiegoś marnego, nie wartego tej nazwy. W r. 1755 w Lizbonie trzęsienie ziemi połowę miasta obróciło w gruzy, a na 200,000 mieszkańców, zginęło przeszło 60,000. Tysiące ludzi uciekających z walących się budynków, schroniło się na wielki bulwar otaczający port, ale i ten razem z niemi zapadł się w morze. Nie dość na tem; morze cofnęło się od brzegów, tak że przez całą godzinę można było widzieć wielką przestrzeń dna morskiego — poczem fale wróciły piętrząc się na pięćdziesiąt stóp wysoko, i zalały ruiny, dobijając tych co jeszcze zostali przy życiu, a okręty rzucone siłą wody jedne na drugie, roztrzaskały się na kawałki. To było przyzwoite trzęsienie, żałuję że go nie widział.

Jakkolwiek szczegóły opowiadane przez lorda przejmowały mnie grozą, jednakże dziwactwo jego pobudzało mimowolnie do śmiechu.

— Tego samego dnia — mówił dalej — miasto jedno w państwie marakańskim liczące 8,000 mieszkańców, zapadło się w mgnieniu oka, a w Szkocyi woda mocno zakolysała się w jeziorach. Na brzegach Madeiry morze było mocno wzburzone, a w Indyach Zachodnich podniosło się o dwadzieścia stóp nad zwykły poziom, czyli że z powodu tego jednego trzęsienia, zakolysały się wszystkie wody leżące po obu stronach równika. Takie kataklizmy, to rozumiem, ale czy taka niewielka wysepka zdobędzie się na co porządnego!

Wzruszył ramionami pogardliwie.

— W czasie trzęsienia ziemi na Jamajce w r. 1692, powierzchnia ziemi falowała jak woda morska, i pękała tworząc głębokie rozpadliny, które się następnie zamykały. Boki gór pokryte roślinnością, obrywały się i zasypywały doliny, a rzeki wskutek zatamowania koryta przez opadnięcie skał, płynąc na jakiś czas przestały. Osady nadbrzeżne zapadały się w morze, w skutek czego znaczna część gruntu pogrążyła się w falach; morze zaś było tak wzburzone, że porwało stojącą w porcie fregatę i rzuciło ją na dachy domów. To było trzęsienie co się zowie, nieprawdą? W r. 1883 przy trzęsieniu ziemi na wyspie Jawie, fale morskie znaczną jej część pochłonięły, przyczem zginęło przeszło 20,000 ludzi. Nie będę koledze wyliczał wszystkich trzęsień ziemi zapisanych w kronikach świata olbrzymiemi spustoszeniami, ale powiem, że one nieraz powierzchnię ziemi zmieniają do niepoznania. Cała okolica na przykład w jednej chwili obniża się na kilkanaście stóp, a rzeki zamieniają ją w jeziora. Ziemia się rozstępuje i wyrzuca ze swego wnętrza strumienie piasku pomieszane z wodą. Owa ziemia co miała być spokojnem dla kości ludzkich posłaniem, wstrząsa się, ryczy, a drzewa co miały owo spokojne posłanie osłaniać, nachylają się ku sobie płacząc się wierzchołkami, albo walą się jedne na drugie.

— Straszny malujesz mi obraz milordzie. Niechże Bóg zachowa Atlantę od podobnego losu. W jakichże stronach świata bywają najczęstsze wstrząśnienia?

— W południowej Ameryce, w południowych Włoszech, w Azji Mniejszej i Środkowej, w Indyach Wschodnich, Japonii, Nowej Zelandyi.

— A gdzie najrzadsze?

— W północnej Europie, Australii, południowej Afryce, Brazylii; Ale niema takiej części świata, gdzieby wstrząśnienia chociaż lekkie, nie zdarzały się od czasu do czasu. Za mój pamięć niejedno już trzęsienie ziemi miało miejsce, ale zawsze mi się tak nieszczęśliwie składało, że nigdy nie mogłem być przy tem obecny. Z Ischii na przykład wyjechałem w przeddzień trzęsienia ziemi, a gdy dowiedziawszy się

w drodze o katastrofie, powróciłem co najspieszniej, było już po wszystkim i zastałem tylko jego ślady. Co za fatalność! Jeżeli tutaj zapowiedziane trzęsienie ziemi zrobi fiasco, jak to przeczuwam, to wystaram się u mego rządu o urlop i wyjadę na łódź szukać wrażeń, bo tu trudno długo wytrzymać. Ale, ale, my Anglicy, jak wiesz kolego, jesteśmy zapalonymi turystami i lubimy zwiedzać kraje nieznane. Chciej mnie objaśnić, co to za kraj te Wieczory rodzinne, bo w Bedeckerze żadnej o nich nie znajduję wzmianki?

Przypomniałem sobie że to samo już raz musiałem tłumaczyć Tamarixowi, przy mojem wstąpieniu na pokład Narcyza. Ale jowialna twarz kapitana, od razu pokazywała że lubił żartować. Nie spodziewałem się tego jednak po poważnym lordzie.

— Czy kraj ten leży w Europie?

— W Europie, milordzie.

— A z czem graniczy?

— Na Wschód z wiekiem dziecinny, na Zachód z młodzieńczym; od Północy jest nadzieja przyszłości, a od południa wiara i bojaźń Boża. Przerzynają ten kraj wysoki trudne do przebycia góry pracy nad kształceniem własnego charakteru, ale ułatwiają do niej dostęp ścieżki wytrwania i mosty zapala, rzucone nad przepaściami. Są też liczne jeziora wiedzy, z czystą jak kryształ wodą, ale czerpanie z nich nie przychodzi bez trudu.

— I o tem Bedecker nie mówi, a przecież co rok mamy nowe wydanie tego wybornego przewodnika. Jakiż tam klimat?

— Ciągłe wiosna.

— Radbym poznać ten kraj i jeżeli tu z trzęsienia ziemi nic nie będzie, napewno jadę z tobą kolego, jeżeli weźmiesz także urlop, bo kapitan Tamarix mi mówił, że słyszał od ciebie o używanej tam papierowej amunicji, z nader dobrym skutkiem. To musi być coś lepszego jeszcze niż proch bezdymny! Chciałbym tam na jakiś czas zamieszkać, i zwiedzić wszelkie osobliwości.

— Będzie to cokolwiek trudno milordzie, bo kraj ten wyłącznie przez młodzież jest zamieszkiwany. Kto się choć trochę zestarzeje, musi wyjeżdżać za granicę.

— Wezmę list polecający od królowej, o co prosić mam prawo, jako kawaler orderu Podwiązki, a ten mi niewątpliwie granice Wieczorów otworzy. A chciałbym się cokolwiek odmłodzić! Choruję na spleen i życie mi się już sprzykrzyło, więc jak ci mówiłem, szukam nowych wrażeń. To co mi mówisz, jest bardzo zachęcające i przypomina mi czytana niegdyś w dzieciństwie bajkę o cudownym młynie do przemielania ludzi starych na młodych. Pamiętam nawet ilustrującą ją rycinę. To już postanowione kolego, jadę z tobą napewno.

I podałem rękę z gestem tak poważnym, jakby cała ta rozmowa prowadzona była na seryo. Mnie zaś mignęła myśl, żeby z nią dla siebie skorzystać.

— Milordzie — zapytałem — czy w Bedeckerze są także wiadomości dotyczące tej wyspy?

— O, naturalnie, że są.

— Jęj położenie geograficzne, szerokość i długość, statystyka?

— Ależ tak. Chyba pan nie wiesz co jest Bedecker, kiedy o to pytasz.

— Nie znam tej książki a chciałbym w niej ten właśnie ustęp przeczytać. Czy nie mógłby mi pan pożyczyć jej na parę godzin?

— Najchętniej.

— Ale ja bardzo mało znam obce języki: po niemiecku i angielsku zaledwie rozumiem. Zatem... żeby nie potrzebował długo szukać, może milord byłby łaskaw założyć mi ten ustęp?

— Bardzo chętnie. Miło mi będzie wyświadczyć koledze tak drobną przysługę. Zaraz tu książkę przysię.

I odszedł, a ja byłem uszczęśliwiony że mi się tak dobrze udało, i że zaczynałem uczyć się dyplomacyi. Chodząc po alei, z niecierpliwością oczekiwałem książki mającej mi wyjaśnić długo ukrywaną zagadkę. Dowiem się nareszcie gdzie jestem, o co już nikogo nawet pytać nie próbowałem, z obawy aby mnie nie wzięto za waryata, jak wówczas na

banhofie gdy wyjeżdżał z Warszawy. I zobaczyłem wkrótce biegnącego ku mnie z książką grooma mylorda. Na kilkanaście kroków przedemną, chłopiec potyka się, książka wypada mu z ręki, a biała kartka wlatuje w powietrze, fruwa ponad nią jak motyl, i ja dostaję książkę bez niej. Myślałem że znajdę na kartce zanotowanie stronicy, gonilem ją więc długo i schwytałem nareszcie, ale była czysta na obie strony. Dwie godziny następnie spędziłem na przeglądaniu Bedeckera, ale naturalnie nic nie znalazłem. Mamże powtórnie prosić o to lorda Schockinga?

Składałem książkę zły i zniechęcony, gdy z pomiędzy drzew wybiegła księżniczka Gori. Goniła ona motylka białego, który wciąż przed nią uciekał, przelatując z krzaczka na krzaczek. Dziewczynka zawołała na mnie żeby jej pomógł go złapać, więc gwoili jej życzeniu gonić za nim zacząłem, a on przysiadł na krzaczku i w chwili gdy go chwytał za skrzydełka, spostrzegłem że motyl jest przymocowany do łodygi, że stanowi z nią jedną całość; że biały motylek którego gonilem uciekł, a kwiatek był tak podobny do motyla, że mnie samego złudził. Zerwałem więc kwiatek i podałem go dziewczynie, a ona zawołała z uczuciem doznanego zawodu.

— Ja nie tego chciałem, ja chcę motylka żywego!

I usteczka skrzywiły jej się do płaczu. Przybiegła wielka ochmistrzyni, pytając co się stało księżniczce, więc ja opowiedziałem rzecz całą i pokazałem kwiatek, a pani ta rozśmiała się.

— Ach — rzekła do mnie przyjaźnie — podobieństwo złudziło cię pazu, a widzę że nie znasz rodziny motylkowatych. Ja cię z nimi zapoznam, ale zanim ci coś powiem o tym kwiatku grochowym, który zerwałeś, poszukajno tam na trawniku małej roślinki o łodydze i kwiateczkach bardzo drobnych, mającej na końcu cieniutkiej łodyżki mały pączek kwiatów złocistej barwy, lekko zabarwionych na czerwono, co im nadaje podobieństwo do łapki ptasięj uzbrojonej pazurkami. Znajdziesz ją łatwo bo wyrasta na wszystkich prawie trawnikach.

Poszedłem za jej wskazówką i znalazłem zaraz ową roślinkę, a nacisnąwszy przypadkiem jeden z jej strączków, zobaczyłem kilka małych ziarneczek ze środka wyglądających, zupełnie jak u strączka grochu który zerwałem dla księżniczki,

biorąc go przez pomyłkę za motyla. Znałem wprawdzie groch, bo byłem mieszkańcem wsi, ale widywałem go zawsze rosnący gromadnie, tu zaś jeden jedyny kwiatek zabłąkany pomiędzy róże, w miejscu gdzie go się znaleźć nie spodziewałem, omylił mnie swoim podobieństwem do owadu. Zaniósłem wielkiej ochmistrzyni roślinkę, którą kazała mi zerwać, i zapytałem czy nie jest czasem w pokrewieństwie z grochem.

— Jest rzeczywiście — odpowiedziała — bo obie te roślinki są przedstawicielkami rodziny bardzo licznej, bardzo pożytecznej, której charakterystyczne cechy są tak doskonale oznaczone, że niepodobna się na nich omylić. Podobieństwo rodzinne jest tak między nimi wielkie, że często nawet

czyni trudnem rozróżnienie gatunków jednych od drugich. Ta którą teraz zerwałeś, jest oto pospolita wszędzie *koniczyna rogowa* *lotus corniculatus*, zwana także koniczyną żółtą. Co zaś do gatunku, to dla tego właśnie że wygląda jak motylek siedzący na łodyżce, botanicy nadali całej rodzinie nazwę motylkowatych, Papilionaceae, albo strąkowych, leguminosae.

— Nazwa bardzo trafna — odrzekłem — ale ta pierw-

sza daleko lepiej mi się podoba, bo odrazu daje wyobrażenie jak kwiat wygląda.

— Podaj no mi ten groszek. Oto jest kielich z jednej sztuki, ale zazwyczaj rozcięty na pięć części i tworzy dwie wargi na wzór roślin wargowych. Płatki jego nie są równe; górny największy ze wszystkich, skrywa prawie cały kwiatek, otrzymał więc nazwę żagielka, bo też istotnie wygląda jak gdyby służył za żagiel lub parasol. Podnieśmy ten żagielek: są tam dwa mniejsze, nazywane skrzydłami. Skrzydła te zbliżone są do siebie, jakby dla ochrony dwóch drugich płatków, o wiele mniejszych, które spojone razem i podniesione na końcach, mają kształt łodzi, i dlatego nazwano je łódką. Rozwinąwszy te dwa płatki, przekonamy się że okrywają starannie jajecznik, czyli przyszły owoc. Pręciki najprzód wydłużone, koniuszeczkami się podnoszą, równie jak i słupki. Policz ile ich jest.



Groch.



Przecięcie kielicha grochu.



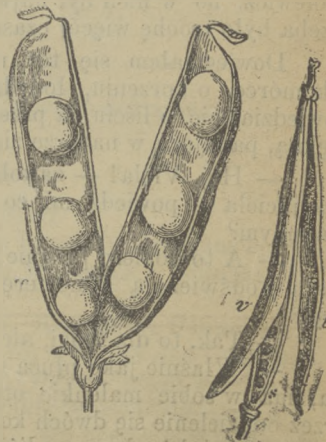
Pręciki grochu: dziewięć połączonych i jeden odłączony.

— Dziesięć.

— Ale co jest w tem ciekawego, to to, że dziewięć z nich zrosnięte są nitkami w jedną wiązkę rurkowatą, w której słupki siedzi jakby w jakiejś kryjówce, wystawiając tylko szyjkę i że dziesiąty pręcik sterczy sobie osobno, naprzeciwko żagielka. To samo zobaczysz u koniczyny, lucerny, u soczewicy, u grochu, u akacyi, u wyki i innych motylkowatych. Domyślasz się zapewne, że jajecznik staje się strączkiem, bardzo podobnym do strączka rodziny krzyżowych, chociaż różni się kształtem tych części w zupełnym już dojrzeniu. Czy widziałeś strączki krzyżowych?

— Widziałem. Każdy jest utworzony z trzech części z których dwie odrywają się końcami od dołu, aby odsłonić przepierzenie do którego przyczepione są ziarneczka.

— Otóż to. U motylkowatych zaś strączek otwiera się wzdłuż, niby książka lub muszla, a ziarnka są przyczepione do obu jego połówek. Oto jest cała budowa tych kwiatów: po szczegółach które ci opowiedziałam, poznasz każdą roślinę motylkowatą. Pamiętaj tylko, że jest dziesięć pręcików; że dziewięć jest połączonych u dołu a jeden odosobniony; wreszcie strączek z przyczepionemi do dwóch jego połówek ziarneczkami, i nie mający wewnątrz żadnej przeprody.

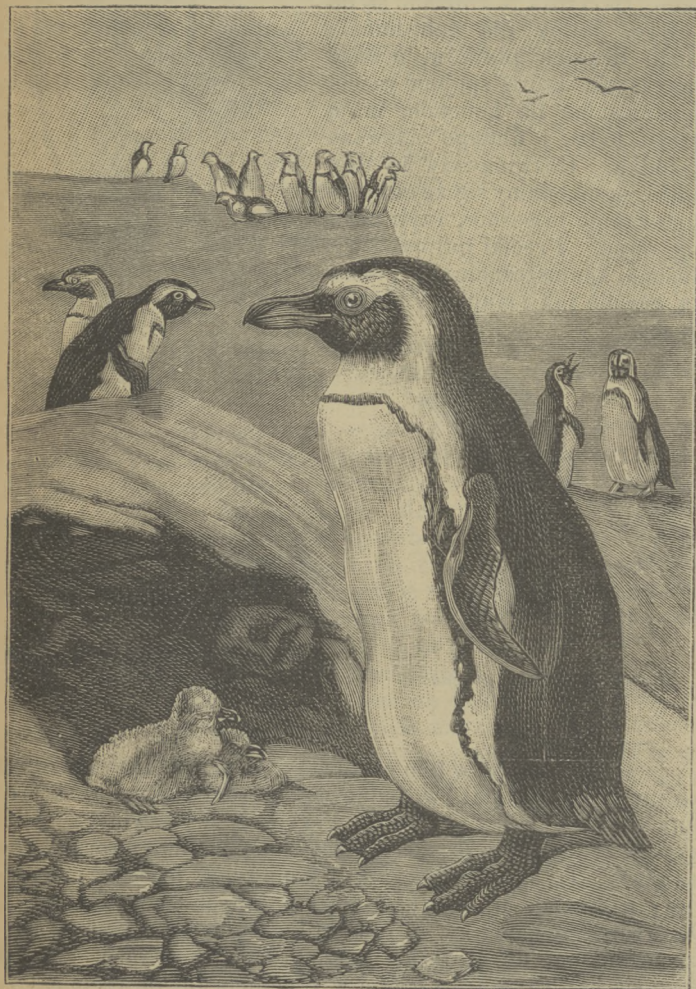


Strączek grochu. Strączek krzyżowych



Koniczyna rogowa.

Podziękowałem tej zacnej damie za objaśnienie jakiego była łaskawa mi użyzyć. Jużto doprawdy, wszyscy tu na Atlantyce bardzo byli dla mnie dobrzy, i chętnie przy każdej sposobności zapoznawali mnie z roślinami. Dzięki im, poznałem już z **Jawnokwiatowych**, **dwuliściennych** **jednopłatkowych**: *Pierwiosnikowate*, *wargowe*, *ogórecznikowate*, *złożone* i *maskowe*; z wielopłatkowych, *krzyżowe*, *fiolkowate*, *makowate*, *grzybieniwate*, *bodziszkowate*, *ślazowate*, *buldaszkowate*, *różowate*, *motylkowate*, *lnowate*, *werbenowate*, *goździkowate*. Wszystko to były rośliny **dwuliścienne**. Z **jednoliściennymi** miałem się dopiero zapoznać, a zaciekały mnie bardzo, bo należały do nich wspaniałe *palmy*, *wonne lilije*, *kosańce*, *amarylki*, *starczki* i wszelkie tra-



Bezlotek.

wy. Tajemnice **skrytokwiatowych** obiecywał mi odsłonić sam królewicz, bo w nich był najwięcej rozmiłowany, tylko na to trzeba było trochę więcej czasu.

Dowiedziałem się też różnych ciekawych szczegółów o komórce, o korzeniu, łodydze, gałęzi, ach, ale nikt mi nie powiedział nic o liściu, a przecież liście to składają się na tę piękną, panującą w naturze zieleność!

— Hej, Viola! — zawołałem na przechodzącego mego przyjaciela — powiedz mi co za znaczenie ma liść w świecie roślinnym?

— A to dopiero pytanie! Czyż nie wiesz że liście oczyszczają i odświeżają atmosferę zepsutą przez oddychanie zwierząt?

— Tak, to dla ludzi, ale na co one są potrzebne roślinie?

— Właśnie jako płuca i żołądek. Błona ich naskórkowa, ma w sobie małe otworki, czyli szparki utworzone przez oddzielenie się dwóch komórek.

— A jakże bywa u liści roślin wodnych, pływających, jak na przykład liście grzybienia?

— Mają one szparki głównie na górnej stronie liścia, podczas gdy naskórek spód liścia pokrywający i stykający się z wodą, nie ma wcale szparek, bo budowa roślin zmienia się zawsze stosownie do warunków, w jakich natura żyć im kazała.

— Bardzo dobrze, pojmuję że liście zastępują płuca roślinom, ale nie rozumiem jakim sposobem mogą one pełnić dla nich czynność żołądka?

— A jednak to bardzo jasne, mój kochany. Żołądek jest organem przyswajającym pokarmy, liście także: przyjmują one kwas węglowy z powietrza i odtleniają go, to jest zatrzymują, a tlen wydzielają — co dokonywa znajdująca się w nich zieleń. W liściach głównie odbywa się przerabianie pokarmów mineralnych jakie roślina przyjmuje, na takie z których już roślina komórki nowe buduje. Jestto więc niejako trawienie roślin. A słyszałeś ty co o przemianie liści na inne organa?

— Nie.

— I to się często przytrafia. Zamieniają się one na łuski, czego szparagi są dowodem; na wasy, jak to widzimy na grochu; na ciernie, jak w berberysie. Nic może w świecie roślinnym nie przedstawia tyle różnaitości, co liście właśnie. Są one podobne do strzał, do igieł, do kosy, do szpady, do półksiężyca, do tarczy, do liry, do trąbki albo lejka, do urn i Bóg wie do jakich dzbanuszków z nakrywkami, jakby na zawiasie osadzonemi. Wielkość ich jest także bardzo różnaita. Jedne bywają zaledwie na pół linii długie, drugie dochodzą nawet do sześciu metrów długości. Szkoda że tę rozmowę o liściach rozpocząłeś teraz, gdy już dzwonią na mszę, bo byłoby o nich dużo do powiedzenia. Są wystaw sobie takie, co na jednym krzaczku różnego kształtu liście mają, jak na przykład pewien gatunek akacyi. Ale co się tu dziwić. Znasz chyba przysłowie przytaczane często w rozmowie o ludziach, jako przenośnia, że: niema na drzewie dwóch listków podobnych do siebie!"

(d. c. n.)

BEZLOTEK.

Bezlotek, zwany także Pingwinem, zamieszkuje półkulę południową. Słusznie nazwano tego ptaka bezlotkiem gdyż zanikowe jego skrzydła, pokryte rogowemi łuskami, do lotu służyć mu nie mogą. Za to pływa on doskonale; to też większą część życia spędza na falach morza, a na brzegach jego przebywa tylko dla chwilowego wypoczynku, albo też dla wychodowania młodych. Trudno też chodzić po ziemi bezlotkowi: na tyle ciała umieszczone ma krótkie, grube nogi, na których sunie z wolna przechylając się z boku na bok; w spoczynku podpiera ciało twardemi piórami ogona, gdy mu zaś jakie zagrazi niebezpieczeństwo, całe ciało naprzód podaje i skrzydłami niby chromy kulą się podpiera. Pióra jego białe, na piersiach brunatne, czarne na grzbiecie, są tak krótkie i wąskie, że służą na wzór futra do podbicia okryć. Ptak ten ma przeszło łokieć długości, a za obronę służy mu dziób długi; boleśnie potrafi szczypać nim myśliwych przed którymi na morze ująć nie może.

A. M.

PRZED LAT TYSIACEM.

(Dalszy ciąg).

— Prześliczne są istotnie — rzekł Aureliusz — i przynoszą zaszczyt różnym plantacyjom w Pestum lecz i ten wypchany ptak godny jest uwagi. Zupełnie jak żywy rozpościera skrzydła.

— To papuga z nad brzegów Indusu.

— Nie, fenix.

— Fenix? — ciekawie spytała Klaudia — sądziłam że ten gatunek ptaków nie istnieje wcale.



DWAJ PRZYJACIELE.

— Ten cudowny fenix, który spalony odradza się z własnych popiołów, naturalnie należy do królestwa bajek. Ale Pliniusz opisuje prawdziwego fenixa, który u źródeł Nilu gniazda sobie z korzeni buduje, a ma piórka błyszczące niby prawdziwe najczystsze złoto. Ta ptaszyna właśnie z nad Nilu pochodzi... A ta księga to Tebaida najnowsze dzieło Stacjusza, czytałem je przed wyjazdem z Traiectum.

— A ja, rzymianka, nie znam go jeszcze.

— Jeśli rozkażesz o pani, przyniosę ci jutro Tebaidę, a dziś poproszę cię o jedną łaskę.

— Mów szlachetny rycerzu — odparła Klaudya.

— Pozwól, abym ci to arcydzieło przeczytał. Nie przez samochwalstwo, wyznam ci jednak że posiadam pewną wprawę w sztuce deklamatorskiej. Bo też i epickie poemata, były jak ci wiadomo, pierwsiastkowo do głośnego czytania przeznaczone.

— Ja też niezmiernie lubię słuchać deklamacyi...

— Więc pozwalasz?

— Proszę.

— Kiedy?

— Zapytam o to mojej mateczki.

— Klaudyo! — zaśmiała się Lucylla — szukam cię jak szpilki. Wszyscy przechodzą do *triclinium*. Spieszmy bo umieram z głodu.

Przy uczcie gospodarz domu, Korneliusz Cynna, wznosząc toast za zdrowie dziewicy, której urodziny dziś obchodzono, dawnym obyczajem czarę najwyborniejszego wina rozlał na cześć bogów, aby tą ofiarą wszelkie błogosławieństwo i łaski niebieskie uprosić dla Klaudyi. Po uczcie zabawiano się rozmową i muzyką i dopiero późnym wieczorem towarzystwo opuściło gościnne progi Korneliusza Cynny.

IX.

Dom Korneliusza Cynny pogrążony był wśród nocy w głębokiej ciszy. Lampy w perystylu pogaszono, pan i służba udali się już na spoczynek. Nagle dwie niewiasty w szerokie płaszcze otulone wysunęły się z domu. Ostrożnie, cichutko minęły dziedziniec i przez małą furtkę wyszły na ulicę. Za nimi siedł barczysty mężczyzna.

— O pani! o moje złotko! gdyby dostojny Korneliusz Cynna dowiedział się o naszej nocnej wycieczce!... ach! jakież straszne były by gromy jego gniewu... Ach! umieram ze strachu! — po cichu jęczała Chloe.

— Nie bądź że tchórzem — uspokajała ją Kornelia. — Wuj nie dowie się żeśmy wychodzili dzisiaj nocy. A wrzecie Barbilus mnie wezwał, mogłażem być nieposłuszną wezwaniu kapłana?... Powiedz sama?... Przytem żadne niebezpieczeństwo nam nie zagraża, toż przecież Parmeniusz nam towarzyszy.

Postępując najpierw spadziłą uliczką, skręcili później w wązki zaułek wijący się w pośród kilkopiętrowych domostw i dotarli do przedsionka świątyni Izdy.

Niewolnik oczekujący ich z latarką skłonił się przed kobietami i milcząc zaprowadził przybyłych na piętro.

Kapłan Barbilus, czterdziestoletni mężczyzna, piękny wspaniały, przyjął Kornelię z powagą, połączoną z uprzejmością. Kazał on Chloi i Parmeniuszowi czekać, a młode dziewczę powiodł z sobą przez istny labirynt słabo oświetlonych komnat i korytarzy. Serce Kornelii zabiło mocno, kiedy same przez się tajemniczo otworzyły się przed nimi podwoje świątyni.

Ciemne, srebrem haftowane opony wzdłuż murów spływały tutaj dokoła... W głębi świątyni na srebrnym piedestale królował posąg bogini Izdy, otulony zwojami śnieżno białych welonów. Z obu stron posagu na spiżowych trójnogach stały drogocenne czary ofiarnicze. Błękitna lampa zwieszająca się od sufitu usianego gwiazdami, rzuciła mdłe, tajemnicze blaski.

— Pozostań tu, moja córko, i błagaj najlepszej władczyni wszechświata i królowej państwa duchów, aby natłęgła cię zrozumieniem woli bogini, woli która ci przezemnie objawioną zostanie — rzekł Barbilus, opuszczając świątynię.

Podwoje znów zawarły się za odchodzącym kapłanem... Kornelia pozostała samą, zabrzniały dokoła niej muzyka i śpiewy, — niezwykle dźwięczne i smętne tony zdawały się płynąć ze ścian, z pod marmurowej posadzki. Jednocześnie w obu czarach zapłonęły blado-niebieskie ogniki i rozlała się upajająca woń ofiarniczych kadzideł...

Kornelia upadła na kolana i modliła się gorąco... Wrzecie welony zasłaniające oblicze bogini zaczęły uchylać się zlekka... Dziewica spojrzała w górę... blask podobny do księżycowych promieni otaczał marmurowy posąg Izdy... Kornelia przymknęła olśnione oczy, oparła głowę o ciemną granitową kolumnę...

Kiedy znów podniosła wzrok w górę ujrzała Barbilusa w fałdzistę, białej szacie kapłańskiej. Stał przed nią i podał jej rękę z przyjaznym uśmiechem.

— Bogini usłyszała twe modły — rzekł i odsuwając zasłonę ze drzwi obitych skórą żubra, wprowadził swą towarzyszkę do obszernej komnaty i uprzejmym gestem zaprosił ją aby usiadła.

— Opowiedz mi teraz sen, który cię tak zatrwożył, moja córko — rzekł gdy dziewczyna spoczęła na ławce.

— Ubiegłej nocy — zaczęła opowiadać Kornelia — we śnie ujrzałam się sama na wielkim, ogromnym polu, leżącym odłogiem. Ani śladu drzewa, krzaczka, ani żdźbła trawy nie było nigdzie; tylko spróchniałe kości białały tu i owdzie... W oddali widać było gmachy przepysznego miasta. Mój narzeczony Kwintus Klaudyusz, na słonecznym wozie, niby bōżek Helios wjeżdżał do tego miasta i mnie przyzywał do siebie. Pragnęłam bieda, nie mogłam przecież ruszyć się z miejsca, moje nogi jak gdyby wrosły w ziemię... Jęczałam, krzyczałam... wszystkie moje wysiłki były daremne.

Podniosłam ręce ku niebu i pełna boleści wołałam: Izdo! wszechmocna bogini, dopomóż mi!... Wszelako bogini głuchą była na moje wezwania... Otóż przeczucie mojego serca ostrzega mię, że ten sen jest złowrogi, że zwiastuje mi nie-szczęście. I dla tego udałam się do ciebie, dojstojny pośredniku pomiędzy śmiertelnymi a wszechmocną...

Gdy Kornelia skończyła swoje opowiadanie, Barbilus ukląkł przed małym ołtarzykiem i oparł czoło o leżącą na nim księgę. Zaledwie to uczynił, woskowa świeca na ołtarzyku zapaliła się sama przez się, jak poprzednio kadzidła w ofiarniczych czarach na trójnogach.

— Moja córko — przemówił Barbilus, podnosząc się po długiej modlitwie — sen twój szczególnie zapowiada, że tobie, twoim ukochanym i twemu domowi grozi nieszczęście, które tylko za wolą potężnej bogini usunięte być może. Zaś żeby zasłużyć na łaskę Izdy, powinnaś przez cztery tygodnie codziennie składać jej ofiary. Złoto, kadzidło, kwitnące róże najmiłsze są potężnej bogini.

— Moje perły, moje wszystkie klejnoty oddam jak najchętniej, byleby tylko złe losy zażegnać można. O! panie, bądź moim orędownikiem i racz dziś przyjąć tę drobną ofiarę — rzekła Kornelia przyciskając do ust dłoń kapłana i wręczając mu drogocenny naszyjnik z rubinów i szmaragdów.

Przez dziewczęcą wstydlivość spuściwszy oczy ku ziemi, Kornelia nie spostrzegła wyrazu chciwości, który przemknął po twarzy Azyaty, kiedy wręczała mu dar kosztowny.

— Dzięki ci, moja córko — rzekł z powagą — twoje ofiary poniosę zaraz do skarbcza bogini błagając nieśmiertelną, aby ci samo dobro zsyłała.

Podał dziewczynie swą prawicę i poprowadził ją do pierwszego pokoju, kędy Parmeniusz stał niby żołnierz na straży, a Chloe drzemała w najwygodniejszym krześle. Zręczny Barbilus zdołał zupełnie uspokoić złe przeczucia Kornelii, wiarą w potężną opiekę Izdy... Po północy już było gdy do swęj sypialni wchodziła znużona bardzo, ale swobodna i pełna dobrej otuchy.

X.

Odprowadziwszy siostry do domu, Kwintus kazał służbie udać się na spoczynek, a sam jeden wyszedł do miasta.

Głęboka cisza zalegała już place, gaje, ulice, gmachy, kędy we dnie taki ruch i gwar panował. Słychać było tylko plusk fal Tybru, bijących o słupy mostu, i szmer licznych wodotrysków będących ozdobą Romy cesarów. Kwintus postanowił unikać spotkania z miejską strażą. Przypadek wpłatał fakt, który według praw rzymskich najstroższej ulegał karze. Nie mógł młodzieniec dłużej powątpiewać, że Eurymachus, Thrax, Barbatus i Euterpe należeli do sekty Nazareńczyków. A teraz właśnie najsurowsze środki obmyślano przeciw wyznawcom Nazaretanizmu! Pomoc w ocaleniu niewolnika Eurymachusa mogła więc być uważaną jako występki przeciw bezpieczeństwu państwa. Kwintus Klaudyusz nie lękał się o siebie, tylko wzgląd na ojca przejmował go troską i obawą.

Owinał się więc starannie w swój płaszcz fałdzisty i oglądając się bystro dokoła, spieszył wzdłuż Kwirynalskiego pagórka.

W starożytnym Rzymie, wszyscy zamożniejsi ludzie swoje własne posiadali domy. Tylko najubożsi za bardzo wysoką cenę wynajmowali mieszkania w domach złe przez spekulantów zbudowanych.

Około północy przed jednym z takich nędznych domostw, zatrzymał się Kwintus. Euterpe oczekiwała go z małą latarką.

Wstąpili na dziewięćdziesiąt sześć schodów, lutnistka zapukała do drzwi, Thrax Barbatus otworzył, Kwintus wszedł do izby, której widok miłą sprawił mu niespodziankę.

U sufitu wisiała tutaj trzyramienna lampa. Ściany były na brunatno-czerwony kolor pomalowane, podłogę pokrywał zużyty nieco, wszelako piękny jeszcze kobieriec. Stół, kilka ławek i szafka z dębowego drzewa, stanowiły umeblowanie, ubogie, wedle pojęć znakomitego Rzymianina, jednakże daleko lepsze, niżli Kwintus spodziewał się tam ujrzyć.

(d. c. n.)

W dziewiczych lasach Ameryki.

(Dalszy ciąg).

CZEŚĆ II-ga.

I.

Lucia przyznaje się do winy. — Przypowieść Juany. — Zośka na „Latawcu”. — Don Leon Wojskim. — Rozstanie. — Miss Oliwia przepisuje kurację „Mon-Avoir”. — Dom rodzinny. — Co kraj, to obyczaj.

Pod czujną strażą don Leona Lucia, z miss Oliwią i Juaną szczęśliwie przybyły do Vera-Cruz. W wielkim portowym mieście nie jedno byłoby do widzenia, Lucia jednak zbyt czuła się smutną, aby pragnąć jakiegokolwiek rozrywki, choćby nawet tej, jaką przynosi zaspokojenie ciekawości rozbudzonej widokiem rzeczy niezwykłych. Chociaż więc miss Oliwia usiłowała dodać jej bodźca, przypominając od czasu do czasu, że raz opuściwszy te strony, już tu może potem nie wróci, dziewczynka nie miała jakoś ochoty ruszać się z hotelu, gdzie po długiej podróży z przyjemnością odnalazła prawdziwie wielkomiejski i regularny tryb życia.

Miss Oliwię martwiła apatya, w jaką popadła Lucia; pojmowała jednak, że po tak bolesnych wstrząśnieniach biedne dziecko potrzebuje dojść do równowagi i nie zmuszała Luci do wychodzenia; owszem, liczyła nawet na to, że wypoczynek dobrze na nią oddziała. Don Leon tem mniej próbował sprzeciwiać się Luci; *Złoty Motyl* był dla niego stworzeniem, któremu należało dogadzać i niewolniczo stosować się do jego żądań — czego zresztą sam pierwszy dawał przykład.

Pozwolono więc Luci wypocząć dni kilka, nie wspominając nawet o dalszej podróży, przypuszczano bowiem, że pragnie aż do ostatniej chwili oddalać od siebie myśl o niemiłej konieczności. Trwało to tydzień, drugi i trzeci i już don Leone zaczynał kłopotać się trochę, co mu czynić należy, bo za trzy dni wypływać miał z portu parowiec angielski, który złożony w Vera-Cruz przywiezione z Europy towary, płynął z resztą ładunku do Brazylii, zabierając na pokład pasażerów, ale takich tylko, których polecił kapitanowi ktoś znajomy. O list polecający do kapitana z łatwością mógł wystarać się don Leon, i mocno pragnął skorzystać ze sposobności odbycia podróży z całem bezpieczeństwem i wygodą, nie śmiał jednak naglić Luci do wyjazdu, a nie chciał, aby ją do tego nagliła miss Oliwia, której Lucia nie byłaby śmiała stawiać oporu, przywykła ulegać jej od dziecka.

Ale Lucia, chociaż na chwilę samolubnie poddała się smutkowi, usprawiedliwionemu bolesnymi wypadkami, które w jej życiu zaszły, nie była ani samolubną, ani skłonną do długiego zatapiania się w beczynnym smutku, i bez niczyjego przypominania zrozumiała też, że nie wolno jej nadużywać wyrozumiałości miss Oliwii, ani braterskiej tklivości don Leona, i że czego zmienić nie można, to znieść trzeba koniecznie, a co zrobione być musi, to lepiej zrobić dziś niż jutro.

Pewnego więc dnia, gdy don Leon zafrasowany jakiś i milczący siedział przy rannem śniadaniu, przy którym gospodarowała Lucia, dziewczynka podając mu filiżankę wonnej kawy, zagadnęła niespodziewanie:

— Czemu kuzynek taki chmurny?

— Wszyscyśmy chyba nie weseli — odpowiedział wymijająco.

— O! mnie nawet bardzo a bardzo smutno — szczerze wyznała Lucia.

— Mnie zaś troską przejmuje odpowiedzialność jaką wzięłam na siebie — równą szczerością odplacił jej don Leon.

Po tej wymianie zwierzeń nastąpiła chwila milczenia.

— Zdaje mi się — nieśmiało zaczęła Lucia — że ta odpowiedzialność mnieję by ci ciążyła gdybym ja ci nie przyczyniała kłopotu?

— Luciu! przecież ci nie robię wyrzutów! — żywo

podchwycił don Leon, rozrzucony smutną i nieśmiałą miną dziewczynki nie dawno jeszcze tak swobodnej, tak wesołej, tak nie nie wiedzącej o kłopotach i odpowiedzialności życia.

— I nie zrobiłbyś mi nigdy żadnego, boś najpocziwszy w świecie! — rzekła mu na to Lucia z powagą — ale to nie racya, abym ja dobroć twoję wyzyskiwała. Miss Oliwia także za dobra jest dla mnie — dodała, z wdzięcznością spoglądając na Angielkę.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Luciu? — spytała miss Oliwia z całą obojętnością, na jaką zdobyć się mogła w tej chwili, choć rozumiała, do czego Lucia zmierza i zaczęliwą się czuła, widząc że wychowanka jej odpowiada nadziejom, jakie zawsze pokładała w jej rozumie i sercu.

— To, pani droga, że widzę doskonale, jak mnie oboje oszczędzacie, jak delikatnymi jesteście dla mnie i widzę to także, że... trochę tego nadużyłam! Ale więcęć już tego nie będzie. Jak myślisz kuzynku — dodała po krótkiej przerwie — możebyśmy już wyruszyli z Vera-Cruz?

— Luciu! złota z ciebie dziewczynka! doskonałość! — wybuchnął don Leon nie tając radości, jaką go przejęła ta propozycja.

— Nigdy nie wątpiłam o rozsądku Luci — spokojnie przerwała mu wykrzykniki miss Oliwia.

— Choć miała pani do tego prawo! — szepnęła Lucia z uśmiechem, przypominającym dawną figlarną Lucię. — Przyznaję, nie dałam dowodu rozsądku ani serca pozwalającego smutkowi wziąć górę nad sobą, ale więcęć już tego nie uczynię... Trzeba jechać! Tyle czasu nudzicie się tutaj dla mnie...

— O nudy mniejsza — przerwał don Leon, zbyt prądomówny aby zaprzeczyć, że w istocie nie bardzo mu przyjemnie czas schodził — ale trzeba korzystać z pory właściwej do podróży...

I uszczęśliwiony objawionem przez Lucię postanowieniem natychmiast opowiedział paniom, że od kilku dni już wie o doskonałej sposobności odbycia podróży bezpiecznie, wygodnie i nie drogo, że nie śmiał nadmienić o tem miss Oliwii... bo... bo... ani Luci... bo...

— Bo psujesz mnie, pocziwy kuzynku — dokończyła za niego Lucia — ale dla czego nie pisałeś ani słowa miss Oliwii? Nie rozumiem tamtych „bo... bo...”!

— Bo chciał ci dostarczyć sposobności przekonania nas, że wiesz, co jest obowiązek — odpowiedziała miss Oliwia, gładząc z pieśczęcią, jasnowłosą główkę pochylającą się ku niej.

Złożono więc niezwłocznie walną naradę i przed rozejściem się od stołu postanowiono, że don Leon postara się dowiedzieć natychmiast o terminie odpływania okrętu i zawiadomiwszy o tem panie, poczyni kroki potrzebne do zapewnienia miejsc dla całego podróżującego grona.

Nastał więc ruch i krętanina, robienie sprawunków i sprawuneków, oraz pakowanie się pospieszne, w czem wszystkim Lucia przyjmowała czynny udział ku wielkiej radości Juany.

— Złoty Motylu! — upominała często Indyanka, patrząc na przygnębienie dziewczynki — stare przysłowie powiada, że na ustach dziewczęcia powinny się rodzić uśmiechy, żeby na ustach kobiety nie rodziły się słowa, co koła jak ciernie.

— Dobrze, Złoty Motylu, dobrze! — powtarzała zato teraz Juana, widząc Lucję krzątającą się i czynną — kto ręką sięga do pracy, kamień sobie z serca odwała,

Westchnęła tylko Lucia w odpowiedzi, bo mimo wszystko, czuła ona zawsze na sercu ciężki kamień tęsknoty i niepokojów o najbliższych. Ale Juana posłyszawszy to westchnienie, zgromiła ją natychmiast:

— A wzdychać, to najgorzej już, niewolno! Czy to Złoty Motyl nie wie, że na kobietę od urodzenia do śmierci czyha zgryzota?

— A cóż ma zgryzota wspólnego z westchnieniem? — spytał don Leon, który wszedł był niepostrzeżenie.

— Et! to tylko przypowieści! gdzieby tam prawić je mężczyźnie! Inszy jest świat kobiecie, a inszy mężczyźnie. Jemu panowanie a ję robotą!

— No! a jak robota ciężka, to westchnąć nad nią wolno.

— Uchowaj Boże! — rzekła — a poco? żeby biedy sobie napytać?

— Jakiej?

— E! bo to widzi pan — rozgadała się kobieta. — Mówią u nas starzy, że raz dawno już temu, dawno, była sobie dziewczyna „Cudo”, bo to i piękna na podziw i robocza, że jak z płatka szło ję wszystko, za co tylko się jęła. Naczelnikowi plemienia godziła się taka na żonę, z rodzicielskich więc szalaśos poszła na służbę w męzowskie, a zawsze szło ję jak z płatka wszystko, za co tylko się jęła. Aż dnia pewnego zwała się na nią roboty moc nieprzebrana: robi a robi, pracowała się już do siódmego potu, a robota niby ję rośnie pod ręką, więc widząc że ję poradzić nie może, westchnęła głęboko, z całej piersi... Ale jeszcze ust nie zamknęła, kiedy już poczuła, że ją coś za seree targa i szarpie...

— Cóż to było? — przerwał don Leon z zajęciem słuchający prostęj przypowieści ludowej.

— Zgryzota! — uroczyście odparła Juana. — Zgryzota, co wpadła przez gardło muszką małą jak ziarno piasku, a nim doszła do serca, urosła już jak tygrys duża. Jak urosła, tak zaraz rzuciła się na serce i ssać je zaczęła i gryźć, aż z niego wyssała wszystką moc i słodycz, i piękność zjadła i roboczość i nie szło już kobiecie nic, za co się jęła, a potem to już i nie miała się za nic, jeno wzdychała a wzdychała, aż życie z siebie „wytnęła”.

— A dla czego Juana mówi, że na kobietę od urodzenia czyha zgryzota? — spytał jeszcze don Leon.

— Bo tak jest, paniczku mój, daktylu — z głębokiem przeświadczeniem zapewniała Juana, która rozgadawszy się na dobre, wracała mimowiednie do dawno zapomnianych wyrażeń ludowych — bo tak jest, nie inaczej. Ledwo na świat przyjdzie dziewczynka, to już nad nią biada zgryzota, kiedy nad chłopcem pieśń wojenną zawodzą starzy. A i potem inna ję dola, inna jemu: on na wojnie albo na łowach, z łupem powraca, *sculp*ami powałę obwiesza, albo ofiary składa...

— Żywcem je grzebiąc na cześć bóstwa? — w formie pytania podpowiedział don Leon.

(d. c. n.)

SZARADA.

przez Ewę Maryę.

— O dziewczyno, o kalino!
Czemuś rączki załamała?
Za czym leż ci źródle płyną?
Powiedz tęskna płaczko mała.

— Ach ja tęsknię, płacząc zcicha
Na sieroce, na złe losy;
Bo mi życia kwiat usycha
Bez wiosenki, słonka, rosy.

— Ej, wszak słonkiem ponad tobą
Pierwsze, drugie świeci jasno;
Rosy nocną lśniąca doba
Aż z poranną zorzą gasną.

— Cóż, gdy chodzę sama zawsze
Moją dróżką, mą ciernistą;
Bom ja *wszystka!* najjaskrawsze
Zorze dla mnie nocą mglistą.

— Dziewczę, w innym szukaj świecie
Drugiego, trzeciego łaski;
On na zwiędłe rzuci kwiecie
Słonka i ros wiecznych blaski.

Oto Go w wierze dziecięcej
Proś słowami pokornymi;
W Nim ufając nie płacz więcej,
Ześ *wszystka* na Bożej ziemi.

Łamigłówka geograficzna.

od Gwoździka dla Pegaza skrzydlatego.

Z następujących sylab: ~~Am—au—berg—ci—af—dam—~~
~~ga—ku—lac—ma—mis—ni—nurn—ny—o—pi—ril—się—si—~~
~~si—ster—stan—zgiera—~~ ułożyć wyrazy: 1. Miasto w Niderlandach. 2. Rzeka w pół. Ameryce. 3. Główne miasto departamentu we Francji. 4. Miasto fabryczne nad Bzurą. 5. Miasto w powiecie włocławskim. 6. Miasto w Bawarii, znane z wynalazku zegarków. 7. Rzeka w Rosji, wpad do m. Azowskiego. 8. Kraj w Azji. Początkowe litery tych wyrazów czytane z góry na dół utworzą nazwę rzeki w południowej Ameryce, a końcowe czytane w tym samym kierunku nazwę jeziora w północnej Ameryce.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 34-go.

Szarady: Ga — la — ta.

Łamigłówki kryształowo-botanicznj:

	M	
	l a k	
	o l c h a	
	s z p i n a k	
	c z e r e m c h a	
m	a c i e r z a n k a	
p	i e c z a r k a	
	s z p a r a g	
	k o n i e	
	o k a	
	a	

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincji w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcji, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Pałac w Jabłonie pod Warszawą drzeworyt. — Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska. — Bezlotek (z drzew.) — Przed lat tysiącem. — Dwaj przyjaciele drzeworyt. — W dziewiczych lasach Ameryki. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Góral p. Cicię Rózię (z drzew.) — Na przekorę, wiersz p. Ewę Maryę. — Stałość charakteru. — Grzeczna Andzia p. Halinę Tokarzewską (z drzew.) — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Zwalczone uprzedzenie, powieść p. Karoliny Yonge, przekład z angielskiego T. P.

WIECZORY RODZINNE.



G Ó R A L.

— Mieszkańców gór nazywamy góralami — pewnego dnia mówiła ciocia Różia do Mani.

— Ja widziałam góry tylko na obrazku — zauważyła Mania.

— A ja — chwalił się Janek — byłem ze stryjem Władziem w górach Świętokrzyskich. Śliczny tam jest las, a na samym wierzchu jednej góry stoi kościół świętokrzyski...

— Ach! jak ja chciałabym tam pojechać! — wołała Mania.

— Ja znów pragnąłbym zwiedzić Tatry.

— Te góry co są na pograniczu Węgier i Galicji? — pytała Mania.

— Tak, bo właśnie te tylko góry noszą nazwę Tatr.

— A górale? Co oni robią? — spytała Mania cioci.

— Górale, moje dziecko, zwykle zajmują się pasceniem bydła po górach, bo trudno im tam ziemię orać i potem obsiewać, więc po bokach czyli stokach gór głównie są wielkie łąki, na których rośnie mnóstwo ziół pachnących, a gdzieś tam stoi chatka drewniana, zamieszkała przez górali, lub też nareszcie kawałek ziemi obsianej owsem. Rosną też tam wielkie lasy iglaste, złożone z sosen, jodeł, świerków, a ponad lasami rozciągają się płaszczyny, nieraz rok cały śniegiem pokryte. Górale w lecie zwykle schodzą ze swych gór na doliny i tu szukają zarobku; w Warszawie wiele też przebywa dzieci góralskich, które chodząc po domach drutują gliniane garnki i sprzedają różne koszyki, blaszane naczynia.

— Druciarze! — zawołała Mania — nieraz już ich widziałam; zaraz poznać ich można po ubraniu.

— Druciarze noszą góralskie ubrania, na nogach mają zwykle skórzane łapcie bez obcasów, a na głowie brązowy, z dużymi brzegami kapelusz.

— Noszą też zwykle płaszcze krótkie jakby peleryny z brązowego sukna — dodał Janek — i te zowią guńkami, nieprawdaż ciociu?

— Podobno górale są bardzo odważni?

— Bez wątpienia, Janku — potwierdziła ciocia. Chodząc po górach od dziecka, przyzwyczajeni są do dróg ciężkich, niebezpiecznych, na których z łada kamienia noga osunąć się może, a w zimie gdy śnieg przepaść pokrywa, to wpaść w nią łatwo. Góral jednak nie lęka się tych niebezpieczeństw, umie im zaradzić rozważą i niepospolitą zręcznością; to też zwykle bywa śmiały, odważny, szczery, a swoje góry tak kocha, że tylko niedostatek spędza go na doliny, idzie dla chleba smutno mu na naszach płaszczynach. Ponieważ w górach przeważnie owies tylko sięją górale, jedzą więc zwykle chleb owsiany; dodajmy do tego kartofle, mleko, a wyliczymy prawie wszystkie góralskie potrawy; góral jednak spożywa je ze smakiem byle tylko mógł w swych pięknych górach przebywać. Zna on też je doskonale, wie gdzie skaczą kozy górskie, których już tyle nazabijano, że bardzo rzadko spotkać się z nimi można, wie gdzie orły przebywają, gdzie droga najlepsza, gdzie tryska źródło wody.

— A ja widziałam tańce góralskie — zawołała Mania — w teatrze...

— I ja także — przerwał Kazio.

Ciocia obiecała też dzieciom, że im zagra kilka piosenek góralskich i na tem skończyła się ich gawędka.

Ciocia Różia.

NA PRZEKORĘ.

Wczoraj nową, śliczną, drogą
Otrzymałam książkę w darze;
Tak przy lampie czytać błogo,
A tu zegar spać iść każe!

Mam go słuchać?... patrzę gniewnie,
Siadam... bim! bum! już dziesiąta!
Czytam bajkę o królewnie,
Ścielą łóżko! marsz do kąta!

Otóż na złość, na przekorę,
Bo czy ja to niewolnica?!
Będę czytać w nocną porę
Przy gwiazd świetle i księżycu!

Dziś Jadzia, nie znając kary,
Ściągnęła ją własną wolą;
Nosi ciemne okulary
I wdycha... oczy ją bołą.

Ewa Marya.

STAŁOŚĆ CHARAKTERU.

Było to w lecie. Kilku chłopaków bawiło się strzelaniem z łuku. Dwóch z nich starszych było już nawet zeszłej jesieni z ojcem na polowaniu i każdy chwalił się zabita zwierzyzną.

— Nie masz jak strzelba! — mówili — łuk to dziecinną zabawką!

— Nie taka znów dziecinną — rzekł Franuś, który umiał strzelać bardzo celnie — zabiłbym z łuku przepiórkę równie dobrze jak wy ze strzelby!

— Cha, cha! — zaśmieli się tamci — chcielibyśmy widzieć!

— A i owszem! — rzekł Franio. — Chodźmy do gaju, tam mnóstwo ptaków.

I trzej chłopcy pobiegli! Czwarty ze swym łukiem pozostał w tyle.

— Cóż, Jasiu, a ty nie idziesz? Ty przecież świetnie strzelasz; będziemy się próbować.

— Ja nie będę strzelał do ptaszków, i wybyście dobrze zrobili, żebyście im dali pokój!

— O! a to dla czego? Żal ci ptaszków? Nie bądź śmiesznym! Jak byłem z ojcem na polowaniu...

— To zabiłeś trzy przepiórki. Wiem o tem — rzekł Jaś — i jabym zrobił to samo. Ale teraz polowanie zabronione, bo w gniazdkach są małe pisklęta; jak zabijecie im matkę, poginą.

— Otóż mi powód! Nie dziwacz chodź, bo pomyślimy że nie umiesz strzelać!

— Chodź! przecie nie zostaniesz sam jeden! Jaki czuły się Jaś zrobił! — zaśmiał się trzeci.

Ale Jaś nie ruszył się z miejsca.

— Nie, nie będę strzelał do ptaszków.

— A to siedź sobie sam jeden! — rzekli wkońcu i oddalili się zagniewani — tchórz z ciebie!

Jaś pozostał sam jeden. Przykro mu było bardzo, chwilę się wahał — siedzieć tu samemu, kiedy tam strzelają z łuku, ulubiona jego zabawa! Chwilę jeszcze się wahał.

— Ech, co tam! — pomyślał — jeden ptaszek... ale się przemógł. Oparł się o drzewo i czekał smutno. Powrócą towarzysze i będą się śmiać z niego.

Wtem posłyszał kroki za sobą... Zbliżył się do niego wuj.

— Cóż, sam tu jesteś? gdzie reszta chłopców?

Jaś opowiedział wszystko. Wuj podał mu rękę i uściśnął serdecznie.

— Dzielny z ciebie chłopak, Jasiu — rzekł. — Twój postępek więcej mię ucieszył, aniżeli gdybyś był najzręczniejszym strzelcem! Zręczność dobrą jest rzeczą, ale nie ona stanowi chlubę mężczyzny; stałość, oto największa chluba. Umiałeś dziś pozbawić się przyjemności i oprzeć się towarzyszom, co cię do złej zabawki nakłaniało, to w życiu potrafisz się oprzeć złym przykładom i własnym zachciankom! A tymczasem chodźmy, chłopcze, może przeszkodzimy tamtym w porę jeszcze i uratujemy biedne ptaszyny od śmierci!

Mar.



Grzeczna Andzia.

Jadwinia skończyła rysunek, który na jutrzejszą lekcję przygotować miała.

— Patrzno Lili, jak cudnie rysuje ciocia Jadwisia, prawda że cudnie? — pytała Andzia swojej lalki, którą trzymała na rękach.

Lili nie była to taka sobie zwyczajna lalka. O nie, bynajmniej! Za naciśnięciem sprężyny wymawiała parę wyrazów, otwierała i zamykała szafirowe oczki i kręciła główką o jasnych, miękkich lokach. I teraz, gdy Andzia zwróciła się do niej z zapytaniem, a jednocześnie przycisnęła w jej piersiach ukrytą sprężynkę, Lili zaczęła kiwać główką, niby potakując i kilka razy wymówiła:

— Tak! tak! mammo!

— Cóż to za komedję odgrywacie? — zapytał Zenonek, starszy braciszek Jadwini i Andzi, który wszedł właśnie — bo ja ani mamy, ani żadnej cioci nie widzę w tym pokoju.

— Mój Zenonku — z powagą rzekła Andzia — Lili jest moją córeczką, więc Jadwinia jako moja siostra, jest ciocią Lili; rozumiesz teraz?

Zenonek przecie już nie słuchał tych wyjaśnień, bo gdy wyjrzał oknem na dziedziniec, wybiegł z radosnym okrzykiem:

— Wujcio przyjechał! Wujcio przyjechał!

Obie dziewczynki czempredziej wyszły na ganek, gdzie ich rodzice już witali wujaszka, który przybył z małą swoją córeczką Anielcią. Wujaszek mieszkał bardzo daleko; nieczęsto więc mógł odwiedzać rodzinę. To też jego przybycie było prawdziwym świętem w domu państwa Żalińskich.

— Podczas pobytu wujcia będziecie zwolnieni od lekcji, ażeby zabawiać Anielcę — rzekła pani Żalińska, z czego dzieci naturalnie były niezmiernie zadowolone.

Zenonek posiadał parę własnych klombików w ogrodzie i altankę obsadzoną powojem, który bardzo starannie hodował i który właśnie teraz zakwitł prześlicznie. Tam pani Żalińska kazała dzieciom podać podwieczorek.

Zenonek ofiarował Anielci bukiet z własnych swoich kwiateczków, Andzia usiadła przy niej ze swoją lalką. Lili dla uczczenia gości była ubraną w błękitną, jedwabną sukienkę błękitną wstążeczką miała przewiązane loki, a za naciśnięciem sprężyny mówiła: „*mamo! tak! nie! dobrze!*” mrużyła oczki, kręciła główką, czem Anielcia była zachwyconą i wzięwszy Lili na ręce, na żadną inną zabawę już nawet spojrzeć nie chciała.

Cieszyło to niezmiernie Andzię, że jej lalka tak bawi małego gościa; codzień swoją Lili ubierała inaczej i piękniej, a nawet na noc, rozebraną z owych świetnych strojów, kładła ją do łóżeczka Anielci. Lecz kiedy Anielcia oświadczyła, że bez Lili jużby żyć nie mogła i zabierze ją z sobą do domu, Andzia przestraszona tem i zmartwiona pobiegła do mamy.

— Co zrobić, mamusiu? co zrobić? — pytała opowiadawszy swoje strapienie. — Ja tak bardzo kocham Lili! czyby jej nie można odebrać Anielci?

— Nie można Andziuniu — odrzekła pani Żalińska, całując łzami zalaną córeczkę. — Anielcia jest naszym gościem, a gościowi nie wypada robić przykrości. Swoją znów drogą nikomu nie wypada domagać się podarunków. Anielcia zapewne jeszcze nic nie wie o tem, bo jest mała, przytem słabowita bardzo. Ile razy się spłaczę zawsze potem choruje, a więc rodzice w niczem jej się nie sprzeciwiają.

— A więc muszę dać lalkę — mówiła Andzia — muszę... muszę — powtarzała pakując garderobę Lili okierując ją ukradkiem.

W chwili wyjazdu, państwo Żalińscy zegnali odjeżdżających gości na ganku. Andzia pocałowała wujcia w rękę, serdecznie uściśnęła Anielcię, ale kiedy złożwszy gorący pocałunek na główce lalki wyszeptwała: „bądź zdrowa! ach! bądź zdrowa najukochańsza Lili! już pewno nie zobaczymy się nigdy w życiu!” nie mogła powstrzymać się dłużej, i z wybuchem głośnego płaczu uciekła do pokoju.

Wujcio zdziwiony patrzył za uciekającą i łzami zalaną siostrzeniczką, później spojrzał na swoją Anielcię, która tuliła lalkę w objęciach i zrozumiał dlaczego Andzia płakała.

— Dobrą masz córeczkę, moja siostro, bardzo dobrą! — rzekł tylko do pani Żalińskiej. — Jakżebym pragnął żeby i moja Anielcia była kiedyś równie uczynną i dobrą!

Andzia była długi czas niepokieszoną po stracie lalki, i wspominała ją bardzo często.

— Co też tam robi Lili?... Czy jej sprawili jakie nowe ubranie?... Czy też Anielcia pamięta, aby Lili miała codzień umytą buzię, ufryzowane loczki i zawsze czystą sukienkę? Umiem już teraz równo robić na drutach i zrobiłabym jej na zimę ciepłe pończochy... Jakżebym chciała zobaczyć i pocałować Lile. Czy ja się też jeszcze kiedy z nią zobaczę?... Jak ci się zdaje Jadwiniu?

— Słyszałam, jak mama raz mówiła, że „góra z górą się zejdzie, ale człowiek z człowiekiem się zejdzie”, więc myślę że i panienka z lalką także spotkać się może — poważnie odpowiedziała Jadwinia i ta nadzieja była dla Andzi wielką pociechą w jej tęsknocie. Aż raz całkiem niespodziewanie, przyjechał wujcio do Żaliniec.

— Jakże się tu miewacie, moi drodzy? — po przywitaniu mówił wesoło — przywożę wam uściski od wujenki i od Anielci, a dla Andzi tę skrzyneczkę. Otwórz ją kochanie.

Otworzywszy skrzyneczkę Anielcia krzyknęła radośnie, bo była tam lalka, zupełnie do Lili podobna, tylko większa i piękniejsza, o! stokroć piękniejsza!

— Przedstawiam państwu imię pannę Zuzię, która pragnie na zawsze pozostać w Żalinie. Czy przyjmujesz ją Andziu? — śmiejąc się mówił wujcio, wydobywając ze skrzyneczki lalkę, która była ubraną w kapelusik z piórami, w futrzaną mufkę i pluszowy płaszczyk obłożony futerkiem.

Zanim Andzia zdążyła odpowiedzieć, lalka postawiona przez wujcia na stole, najpierw ukloniła się pięknie, a później zaśpiewała:

Przybywam zdaleka
O gościnność proszę,
Andzia mnie tu czeka
I wszelkie rozkosze!

Zdumienie dzieci nie miało granic.

— Ach! wujciu — przemówiła Andzia — i skądże ty wziąłeś to cudo? Jeszczem nigdy nie słyszała o śpiewającej lalce!

— Otoż widzisz kochanko — tłumaczył wujcio — w Ameryce mieszka pewien bardzo, bardzo rozumny człowiek, Edison, którego życiorys był w Wieczorach, mnóstwo on rzeczy wymyślił dla pożytku ludzi starszych. W tych czasach powiedział sobie, że trzeba aby grzeczne i dobre dzieci skorzystały także coś z jego pomysłowości, no! i kazał według swoich wskazówek robić śpiewające lalki.

— Jaki on musi być dobry kiedy o dzieciach pamiętał. Kocham go za to! — zawołała Andzia.

Halina Tokarzewska.

Łamigłówka kwadratowa geograficzna.

Rosicze z nad Rowu i Błyskawicy od Srebrnej Gondoli.

A	1	12
B	2	11
C	3	10
D	9	4
E	8	5
F	7	6

W sześciu rzędach oznaczonych literami: A, B, C, D, E, F, ułożyć w każdym wyraz sześciogłoskowy, w którym litery wskazane liczbami od 1 do 6 włącznie, złożą nazwę miasta nad Niemnem, a od 7 do 12 włącznie, nazwę miasta w Anglii. Sylaby: Mo—an—dya—gło—sło—na—lo—kan—cya—nim—de—men—gre—go — znaczenie wyrazów: A. Rzeka w Norwegii. B. Kraj w połud. Europie. C. Miasto w gub. grodzieńskiej. D. Wyspa na m. Śródziemnem. E. Miasto we Włoszech. F. Państwo murzyńskie.

SZARADA.

od M. Ch. dla Toli.

Pierwszą zaimkę, a czwartą litera,
Nazwę znów karty, trzecie zawiera.
Pierwsza z drugą czwartą, razem połączona
To, czem zwykle wszystka bywa napelniona.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 35-go.

Szarady: War — sza — wa.

Łamigłówki sylabowej:

1. Prosna. 2. Elba. 3. Tamiza. 4. Ebro. 5. Rodan.
6. San. 7. Bug. 8. Umea. 9. Rudawa. 10. Garonna.

Petersburg.

Skrzynka do listów.

Jaskółka z nad Wołgi nie miała żadnego powodu „nie mieć odwagi” napisania do nas: listowi jej nic nie mamy do zarzucenia. Robota z tak daleka przybyła zda się biedactwu jakiemuś, a dla nas miłym jest dowodem pamięci o swoich. Prosimy oddaloną ptaszynek o częstsze do nas odezwy.

Łamigłówka przysłana przez Rodaka z nad Wisły zupełnie jest nieprzydatną; przytem Redakcja nie przyjmuje listów niefrankowanych, za które musi podwójnie porto opłacać.

Nigdy nie „zapóźno” na dopomożenie potrzebującym pomocy, kochana Romciu S.; w imieniu biednych dzieci dziękujemy.

W swoim już własnem dziękujemy Gamie C-dur za opis tych cudowności, na jakie się w górach napatrzyła. Miło nam widzieć, że dawniej i kochanej naszej korespondentce pilno podzielić się z nami każdym wrażeniem i ten to właśnie węzeł serdeczny zadzierzgnięty pomiędzy nami, a gromadką naszych korespondentów stanowi najmiłszą pracy naszej nagrodę i coraz silniej przywiązuje nas do tych złotych serduszek, które się ufnie ku nam garną.

Cisza wieczorna i Kujawianka ubolewają, że nie zawsze „ma się szczęście jednakowe” do odgadywania zadań i szarad. Nam się zdaje, że to nie szczęścia, ale namysłu potrzeba?

Spóźniają się teraz moje odpowiedzi, bo liściki wasze wtedy dopiero na wieś do mnie dochodzą, gdy ich się trochę więcej zbierze. Ale za to jaka radość, gdy je otrzymam! jak mi tęskno za temi codziennymi dowodami waszej o mnie pamięci! Tak dawno słówka nie miałam od ciebie, Wróźbiarko szczęścia, że sądziłam się zupełnie zapomnianą, a tymczasem tyś myślała o mnie tak pocziwie. Dlaczego przypuszczasz, że się „naśmieję z tych gryzmolów”? Czyżbyś naprawdę posądziła mnie o to? J. pocziwsza — ta „nie wąpi”, że każdą waszą odezwę przyjmuję z tą gorącą wdzięcznością jaką płacić należy każdy objaw sympatii i życzliwości. Konkurs robótek ustanowiony jest głównie w celu zaprawiania małych rączek do igły, lecz i sukienka szydełkowa ogrzać może ubogie dzieciątko, któremu matka nie ma za co sprawić ciepłej odzieży. Biedy ludzkiej nie przebierze się nigdy i dla tego ofiara P. z wdzięcznością jest przyjęta — jej zaś samą przesyłam uściśnienia serdeczne, również jak i K., której list pełen szczegółów o małych krewnych bardzo mnie zajął. Ten ukochany Wacio długo jeszcze poczeka, zanim będzie w stanie korzystać z książek, które ma „odziedziczyć” po tobie, ale widzę z twego listu, że jesteś porządna, że dbasz o całość książek i zabawek, skoro nimi na korzyść młodszych rozporządzasz.

Zawsze to mówię, że tak pocziwych dzieci jak nasza rodzinna „Wieczorowa” nie ma na całym świecie — i dla tego tak was serdecznie kocha

Gołębka.

Drogie moje, Wesoła Krakowianko, Sosenko i Chmurko Wiosenna. Krakowianko, dziękuję ci za miłutki liścik, nie gniewałam się, że mi nie odpowiadałaś myśląc, że może już nie czytujesz Wieczorów. Kochana Sosenko mam do ciebie sympatyę. Od których liter zaczyna się twoje imię i nazwisko? Moje Ma i W. Dla czego Chmurko wiosenna obrałaś sobie taki pseudonym kiedy nie zdajesz się być chmurną? Co najlepiej podoba ci się w Wieczorach? Mnie „W dziewiczych lasach Ameryki. Całuję was jak najserdeczniej i proszę o odpis. Gwiazdka na Zachodzie.

Kochana Figlarko! Nazywam się Zosia R., mam lat 12 i uczę się w domu przy nauczycielce, mieszkam na wsi pod Łowiczem, jest tam bardzo wesoło, dużo kwiatów, gry i zabawy, huśtawka, gimnastyka, jazda na łódce i t. d. W Wieczorach najlepiej podoba mi się „Druga Matka” a zresztą wszystko mnie zajmuje. Posłałam do Wieczorów kilka szarad i zagadek, dwie z nich dla ciebie. Całuję cię kochana, a odpisz Jagódce z pod Arkadyi.

Kochana Niezapominajko z nad Warty i Biała Ostróżko! Cemu na mój liścik nie odpisujecie miłe siostrzyczki? Ściskam was serdecznie. K.

Kochana Figlarko, Gałązko Heliotropu i Miernoto! Serdecznym całusem dziękuję wam za listy Figlarko i Gałązko. Jak się wam podoba „Z wyspy Atlanty”? mnie zachwyci. Pisujcie do mnie często. Czy mieszkasz jeszcze w Kaliszu Gałązko? Jeżeli tak jest, to uściskaj odemnie Grażynkę i Terenię W. Jestem staruszką droga Miernoto, więc ci dziękuję za pozdrowienie i pytam czy zechcesz korespondować ze mną? Przyjmijcie drogie siostrzyczki serdeczne uściśnienia od Niezapominajki z nad Warty.

P. S. Białonóżce załączam milion całusów i proszę o liścik

Kochana Świtezianko z nad Męciny! Zgadnij kim jestem; widziałam cię daleko od miejsca rodzinnego i bardzo mi się podobałaś, a nawet od pierwszego razu pokochałam cię. Ścisła cię sercem całem Żegotka.

Kochany Siłacz! Czy rzeczywiście jesteś takim silnym? Co najlepiej lubisz? Ja geografję. Mam lat 11, jestem w I-jej klasie; chciałbym być sławnym jak Kolumb. Donieś mi wszystko o sobie, posyłam ci szaradę. Twój Bystry koń.

Kochana Iskierko z nad Bzury! Bardzo mi się podobałaś z twego pseudonymu i postanowiłam korespondować z tobą. Donieś mi, jak się nazywasz, gdzie mieszkasz i ile masz lat. Spojrz na mój list pisany do Śnieżyczki, a dowiesz się niektórych szczegółów o mnie. Ściskam cię. Pieszczotka z nad Bugu.

Drogie: Królowo Elfów, Królowo Wrózek i Księżniczko Wrzosów! Ej, Królowo Elfów! czy ja się myślę, czy naprawdę mieszkasz w S., masz siostrę Barwinkę i znasz Zosię i Manię? Królowo Wrózek i Księżniczko Wrzosów. Śliczne wasze pseudonimy! Mnie na imię Janinka, mam lat 13, ciemne włosy, szafirowe oczy i żywe usposobienie. Królowno Salin! Mam do ciebie wielką sympatyę. Nas pięć tworzy prawdziwe królewskie grono, nieprawdaż? Zmieniam mój pseudonym Syreny z fal wiślanych na Królowę Syren. Ściskam was serdecznie, zasylam serdeczne pozdrowienia. Królowa syren.

Figlarko droga! Może zechcesz ze mną korespondować? Szczegółów o mnie dowiesz się z listu do Macierzanki. Tobie zaś donoszę, że wszystkie powieści w Wieczorach bardzo mi się podobały, szczególnie „Druga matka”. Jak ci się zdaje, czy wyspa Atlanta naprawdę istnieje? Nie lubię miasta, ale wieś bardzo kocham. Donieś mi, Figlarko droga, ile masz książek, które najwięcej lubisz, gdzie mieszkasz, ile masz lat, jak się nazywasz? A tymczasem przyjm całusa od kochającej cię Tereni R., Dziewoi.

Miluchna Pieszczotka z małego ogródka! Pseudonym twój bardzo mi się podoba. Donieś mi wszystko o sobie, odpisując niedługo i przyjm serdeczne uściśnienie od kochającej Iskierki z pod Lublina. Róży Edenu i Margericie dziękuję za odpowiedź i całuję je.